

Adam Lizakowski - opowiadanie

Pieszycyckie Łąki

Jak środowisko polonijne widzi artystę - inteligenta?

część 1

1
PEWIEN młody poeta, nauczyciel języka ojczystego, od wielu lat marzył o tym, aby uciec ze swojej małej ojczyzny za wielką wodę, bo tam wszystko jest wielkie, począwszy od marzeń, poprzez jeziora i rzeki, a skończywszy na literaturze i ludziach, którzy tworzą wielką historię wielkiego kraju. Aby spełnić swoje marzenia zostania wielkim poetą o światowej sławie, trzeba być w kraju gdzie marzenia są narodowym przywilejem całego społeczeństwa, a naczelnym z nich jest marzenie o tym, aby być sławnym i bogatym, zdrowym i pięknym. Marzył, aby zostać drugim Homerem, no, nawet jeśli nie Homerem, to choćby Mickiewiczem. Marzył o tym, aby przed nim nikogo z żywych poetów nie było, a jeśli krytycy mieliby porównywać jego twórczość do jakiegokolwiek poety, to tylko do umarłego. Marzyły mu się milionowe nakłady książek w wszystkich znanych mu językach świata. Zdjęcia na pierwszych stronach gazet literackich, długie wywiady w pismach politycznych, w których mówiłby o znaczeniu swojej poezji. W nich tłumaczyłby zwolennikom swojej twórczości tajniki swojej wielkiej poezji; dlaczego ona jest tak ważna i jak należy ją rozumieć. Aby czytać się lepiej, aby czuć blask nadchodzącej wielkości, rozjaśniał swoją twarz nie tylko wielkim szczerym uśmiechem ukazującym jego piękne, śniące w promieniach słońca, zęby. Golił się dwa razy dziennie aby rozjaśnić swoją twarz, tak bardzo chciał się wyróżnić z tłumu zwykłych szarych, nie uśmiechających się ludzi.

Myślał o sukcesie swojej poezji, który nie byłby pustym słowem, w którym mieściłaby się przepaść bez dna i zwykła kromka chleba wraz z kubkiem herbaty. Sukces, który byłby dla niego wielkim domem, a w nim czekająca piękna żona wraz z liczną służbą. Nowy kraj z nowym językiem znanym na całym świecie gwarantował wielki sukces, na który młody poeta bardzo liczył. Liczył, bo znał historie ludzi opowiadane z pokolenia na pokolenie, w których ludzie pragnący sukcesu zawsze go odnosili, bo pragnienia są siłą napędową wszystkich poczyniań. Pragnienia są chlebem dla tych, co pragną, rosną w siłę i chcą zdobywać to, co według nich dawno im się należy, lecz dobry Pan Bóg nie daje im tego na samo wyciągnięcie ręki. Był bardzo zmartwiony tym, że posiada wielki talent - istna żyła złota, który należy jak najszybciej eksploatować, ale nikt tego nie robił, a on sam z siebie nie mógł wykrzesać iskierki, która by podpaliła jego marzenia. Poezja moja jest doskonała - mówił do siebie - ale tutaj to jest powód do dumy, tylko do zmartwienia, to bardzo go martwiło, bo stara ojczyzna nie lubiła utalentowanych poetów ani nie gwarantowała sukcesu. Była małą ojczyzną, wcale nie gdzieś na końcu świata, ale w środku Europy, była sercem Europy, matką współczesnego świata, ale o której wielu ludzi na świecie nawet nie słyszało.

Poeta pochodził z małego powiatowego miasteczka położonego na krańcach państwa, w którym nie czuł dumy z tego, że pochodzi z tego właśnie miejsca na ziemi. Ubolewał nad tym, że trudno jest znaleźć jego miasteczko na mapie kraju, nie tylko dlatego, że jest tak małe, ale i dlatego, że w miasteczku nic się nie działo od wielu pokoleń. „Będę kochał swoją małą ojczyznę i wszystko zrobię dla niej, aby moja mała ojczyzna była

piękna i szczęśliwa” - myślał.

W miasteczku nikt na wierszach się nie znał, bo miasteczko żyło nie poezją, ale prozą życia codziennego i tego poeta nie mógł zrozumieć. Proza, jak to zawsze w życiu bywa, jest o wiele bliższa życiu niż poezja, bo poezja żyje wysoko ponad dachami domów, w których mieszkają zwykli zjadacze chleba. Poeta na co dzień miał na twarzy uśmiech szelmowski, pewny siebie, ale w sercu czuł się błaznem, a wieczorem płakał ubolewając na swoją niedolę. O swoje ciężkie życie na prowincji oskarżał wszystkich, ale najbardziej panie bibliotekarki, które według niego z trudem odróżniały wiersz biały od prozy poetyckiej. W bibliotekach nie było nowości poetyckich ani pism literackich, którymi on tak bardzo żył, a burmistrz miasteczka, uczciwy człowiek dbający o prozaiczne życie mieszkańców, był z wykształcenia inżynierem od kolejowych mostów i na wierszach się nie znał. Chyba nawet nie lubił poezji, ale o tym głośno nie mówił. Zakładał czarne garnitury i kolorowe koszule, do których wyszukiwał jasnozielone krawaty. Nosił drucziane okulary, które zatrzymywały się na wielkim grubym nosie, co nadawało jego twarzy inteligentny wyraz. Burmistrz, pomimo wielu wad, jednak zawsze tak planował budżet miasteczka, że zawsze znalazły się pieniądze na bibliotekę: na pensje pracowników, ogrzewanie i oświetlenie. I czasem lubił zająć do biblioteki. Siadał wtedy na drewnianym krzeselku na środku pokoju z półkami książek i długo milczał. O czym myślał - tego nikt nie wiedział, bo nikt nie miał śmiałości zapytać go o to. Czasem jego dorastająca córka wpadała do biblioteki, aby coś wybrać z lektur szkolnych, a gdy napotykała ojca siedzącego bez ruchu na środku pokoju, pytała go: „Tato, dlaczego tak siedzisz i nic nie mówisz?”. On, najnormalniej w świecie wstawał z krzeselka, zakładał płaszcz i nic nie mówiąc wychodził z biblioteki kierując swoje kroki wprost do urzędu miasta, w którym na drugim piętrze było jego biuro.

Polonistki ze szkoły średniej i te starsze stażem bibliotekarki, zatrzymały się na etapie romantyzmu - to przecież jest straszne, tak nie może być - myślał poeta. Nawet wydało mu się, że to one są wciąż agentami romantyzmu w jego miasteczku, mimo tego, że nie nosiły peruk, ani nie przyklejały sobie sztucznych bród i wąsów. Ich ulubioną lekturą był „Pan Tadeusz” i każdy mężczyzna o tym imieniu miał u nich duże względy. Ale bądźmy sprawiedliwi, przy lichym świetle biblioteczkich żarówek czytały też twórczość Marii Konopnickiej, do której gorąco zachęcały swoich uczniów. Te młodsze polonistki i bibliotekarki kochały się w poezji Edwarda Stachury, ale już Rafała Wojaczka młodym miłośnikom poezji nie poleciłyby. On podsuszał im swoją poezję pisaną na kartkach i nie wiadomo jak bardzo by się starał, one nie chciały jego poezji czytać, a co gorsza unikały go. To po raz kolejny uświadomiło mu, że w tym kraju nie ma dla niego przyszłości, bo skoro polonistki i bibliotekarki unikały go - myślał - to co można powiedzieć o zwykłych szarych ludziach.

Młody poeta wiedział, że musi być wyrazisty, przekonujący, ciekawy w swojej twórczości, nie może być porównywany do poezji stojącej na półkach biblioteczkich. Siła mojej poezji jest w tym - myślał - że niezdarstwo ludzka opisuję w taki sam sposób jak Homer opisywał



Adam Lizakowski
(ur. 24 grudnia 1956 w Dzierżoniowie) - polski poeta, rzeźbiarz, fotograf, tłumacz i promotor kultury polskiej za granicą. Jego wiersze publikowaliśmy w lipcowym wydaniu ŻK. Przedstawiamy cz. 1 jednego z jego opowiadań pt. „Pieszycyckie Łąki”. Adam Lizakowski w tym roku obchodzi 30-lecie pracy twórczej. Jest współczesnym twórcą emigracyjnym. Mieszka w Chciago. Mamy w planach gościć go w Kolorado na początku 2011 roku.

zalety starożytnych Greków. Ludzie, z którymi przyszło żyć młodemu poecie, byli tylko mieszkańcami małego prowincjonalnego miasteczka, w którym, tak na dobrą sprawę, nic się nie działo, bo nic się nie mogło dziać. Co miało się dziać? Oni nie byli starożytnymi Grekami, których życiem bogowie bawili się do woli. Oni byli zwykłymi ludźmi rano idącymi do pracy, stojącymi w kolejkach sklepowych po pracy. Ciężkim krokiem wracają do domu po całym ciężkim dniu walki z życiem. To był ich heroizm, który z takim upodobaniem opisywał młody poeta.

Gdy padał deszcz chłopcy całowali dziewczyny na klatkach schodowych, ukryci w mroku przepalonych lub stłuczonych żarówek korytarzowych. Były to pocałunki z klatek schodowych. Takie nieśmiałe, ani ciepłe, ani zimne, z drżącymi palcami wokół ciała szukającymi ciepła pod grubym swetrem ukochanej, takie jesienne pocałunki. Ledwo muśnięcie ust, które pragnęły żarliwości i namiętności, a tego pocałunki na klatkach schodowych nie mogły gwarantować.

Gdy nadeszła wiosna i lato, gdy świeciło słońce, młodzi całowali się na osiedlowych i parkowych ławkach. Były to pocałunki osiedlowo - parkowe, w swoim smaku zupełnie inne od tych z klatek schodowych. Było w nich dużo ciepła i rozkoszy, wiele ptasich odgłosów, takich trele, lele, bo serca były bardzo żywo i oczy namiętnie pozerwały kształty pożądanej osoby. Kto nie wierzy, niech sprawdzi. Każdemu wolno się kochać i całować na ławce w parku.

Starzy mieszkańcy miasteczka siedzieli przed swoimi mieszkaniem i wspominali dawne czasy, gdy leki były takie tanie - teraz nikogo nie stać na lekarstwa - a życie jakby straciło na wartości. Mali chłopcy jeździli na rowerkach wokół piaskownicy, w której dziewczynki budowały babki z piasku i piaskowe pałace, w których będą mieszkać jak wyjdą za mąż.

Pod płotem z drugiej strony blokowiska sześćioletnia dziewczynka zrywała liście łobody, krzycząc: „Mężu, za pięć minut będzie gotowy [obiad?]. Myj już ręce”. Kot czarny, ubrany odświętnie, w białym krawacie i białych skarpetkach sierści, leniwie wygrzewał się w słońcu drzemiąc na parapecie okiennym miesz-

kania na parterze. Od czasu do czasu przeciągał się. Był żywym obrazem miasteczka, w którym nic się nie dzieje. Przybrał, nie wiedząc dlaczego, symbol miasteczkowej nudy i bezradności.

Mieszkańcy miasteczka - bez większych ambicji i aspiracji literackich - o których nikt nie słyszał, których nikt nie znał, no bo dlaczego miał ich znać, przecież nie takiego wielkiego nie zrobili. Ich marzeniem była kura na obiad na niedzielny stół. Kura była ich ulubionym ptakiem, ale nie jego. Jego ulubionymi ptakami była dzika kaczka Ibsena, mewa Czechowa, żurawie Ibikusa z ballady Schillera lub gęsi trzymane na Kapitolu, które, jak mówi legenda, ostrzegły rzymską załogę, postawiły Rzymian na nogi i pomogły pokonać Gallów.

Poeta czuł się obco chodząc ulicami swojego prowincjonalnego miasteczka. Czuł wzrok nie rozumiejących go mieszkańców na swoich plecach. Czyżby byli zazdrośni o jego przyszły sukces? Poeta czuł to pod skórą, takie rzeczy przecież się wie, intuicja nie myli. Wiersze swoje pisał zawsze ołówkiem, aby w razie czego mógł je łatwo wymazać lub poprawić, choć do tej pory jeszcze się to mu nie zdarzyło. Zawsze pisał świetne wiersze, które nie potrzebował ani poprawiać, ani przepisywać.

Jednak bezradność i niemoc kładła mu się na maszynie do pisania, gdy przepisywał swoje wiersze na czysto. Oba te niemile uczucia wchodziły w kości i czyniły go bezwolnym jak wszystkich mieszkających w tym miasteczku. Zastanawiał się jaki znaleźć temat dla swoich wierszy, o czym pisać? Wiedział, że istnieją dwa wielkie tematy literatury. Jeden to przemijanie. Ludzie się starzeją, przemija pokolenie, zmieniają się ludzie i ich sprawy z perspektywy lat wydają się błahe. Wszystko przemija i następne pokolenie myśli już tylko o sobie. Drugi temat to obraz ludzkich cierpień, temat niezależny od epoki, bo każdy z nas cierpi na swój sposób, a jednak, niezależnie od pokoleń, cierpienie jest to same. On jednak nie chciał pisać ani o przemijaniu ani o cierpieniu. On chciał pisać o nowych wyzwaniach świata, nowych lądach, wrażeniach, przeżyciach. Dlatego tak bardzo chciał wyjechać ze swojego małego miasteczka.

Bez większego przekonania wysyłał swe wiersze do redakcji pism literackich. Ci wielcy redaktorzy wielkich pism literackich i dodatków do wielkich pism o wielotysięcznych nakładach w jego ojczyźnie drukowali tylko i wyłącznie swoich kolegów po piórze i po kielichu. A on, ogon małej myszki, nie miał szans na druk, bo był poza wszelkimi układami. Był zdolnym, ale nikt tego nie wiedział, tylko on. Był nikim, bo nikt o nim nie słyszał. On słyszał o wielu poetach i literatach, ale oni o nim nie wiedzieli i go nie znali. Nie znał ich osobiście, ale nabrał wstrętu do tych brodatych, długowłosych brudasów siedzących w stolicy i pijących piwo, celebrytów kolejno opublikowanych wiersz. Przekonani, że wypiszą szklankę piwa przy brudnym stole w zaduchu jakiejś knajpy, w zgiełku i bełkotu pijanych współtowarzyszy i chrypiącej muzyki z porysowanej zachodniej płyty, zobaczyli samo życie. On z dala od nich przeżywał piekielne męki.

Pewnego dnia jego marzenia się spełniły, to, o co prosił w swoich modłach do Pana Boga, spełniło się. Kuzyni z Chciago wysłali mu zaproszenie, konsul przybił pieczętkę. Sprawy potoczyły się tak nagle, że nie zdążył pomyśleć, że kraj, w którym się urodził i wychował, stał się krajem jego wygnania. Wyjechał do Ameryki, swojej wymarzonej, ukochanej, tej, w której spełniają się marzenia wszystkich emigrantów, o której nic nie wiedział poza tym, że jest to ziemia obiecana, na której i jego marzenia musiały się spełnić.